CZYTELNIA

NIEDZIELNA.

ROK CZWARTY, 1859.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGRA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

1859.

CZYTELNIA

NIEDZIELNA.

ROK CZWARTY 1859.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGRA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

—

1859.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

w Warszawie dnia 9 (21) Grudnia 1859 roku.

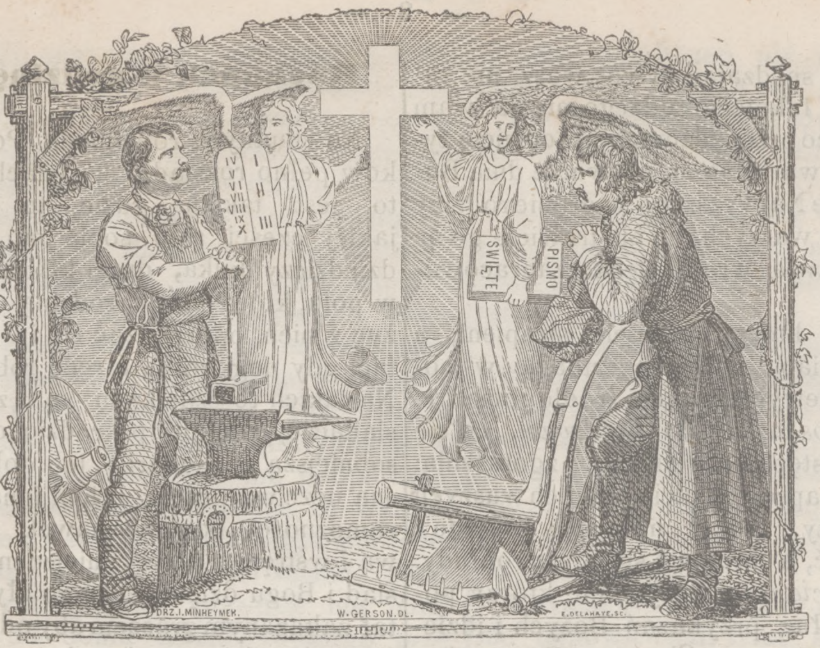
Starszy Cenzor, **F. Sobieszczański.**

ROK CZWARTY.

№ 1.

WARSZAWA.
D. 21 grudnia
(2 stycznia)
1859.

Niedziela
między Obrzezaniem Pańskiem i 3ma Królami.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, któryś uczynił nas nowem dla siebie stworzeniem w Jednorodzonym Synu Twoim, racz przechować dzieło miłosierdzia twego, a od wszelkich skalań zastarzałej, zepsutej natury oczyść; iżbyśmy za pomocą twej łaski, podobnymi się stali do Tego, który połączył w sobie nasze, bez grzechu tylko przyrodzenie z Boską swą naturą. (Kollekta na Niedzielę między obrzezaniem Pańskiem i Trzema Królami).

Do Czytelników.

Pokój wam, mawiał Chrystus Pan, witając wybranych uczniów swoich; i zaprawdę możeż być słodsze pozdrowienie, nad pozdrowienie życzeniem *pokoju*, *pokoju* duszy i serca, *pokoju* sumienia. To też i my idąc za przykładem Boskiego Mistrza i przemawiając do was poraz pierwszy w tym roku, pozdrawiamy was Jego słowy:

Pokój i cześć wam kapłani, bogobojni pasterze, zacni słudzy ołtarza, co zasiewacie miłość i zgodę w sercach trzodki waszej; wam wiejscy plebani, co jak prawdziwi następcy uczniów Zbawiciela zaszczepiacie słowo Boże w prostych sercach ludu i niem jak żywem źródłem poicie owieczki wasze.

Pokój i cześć wam panowie i zwierzchnicy, co nie przestajecie czuwać nad tem, aby wasza czeladka i lud wam powierzony żył bogobojnie i uczciwie; wam, co otwieracie możność kształcenia prostych ich serc na poczciwych i zbawiennych wzorach, zawartych w pismach dla nich przeznaczonych.

Pokój wam słudzy i podwładni, co wiernie i sumiennie spełniacie obowiązki wasze, co pilnie wykonywacie dane wam zlecenia, a dobra pańskiego jak własnego strzeżecie; wam, których pobożność nie ogranicza się na samej formie, ale którzy ją w głębi serca czujecie.

Pokój i cześć wam rodzice, co w bojaźni i miłości Bożej, w cnocie i dobrych przykładach wychowujecie dziatki wasze, wam, co miłością rodzicielską obdzielacie zarówno dziatki wasze na wzór Niebieskiego Ojca, który zarówno wszystkie swe dzieci miłuje.

Pokój wam posłuszne i dobre dziatki, co jesteście pociechą waszych rodziców, wam, co szanujecie rodziców i wszystkich od was starszych wiekiem, zasługą i doświadczeniem.

Pokój i pozdrowienie wam i domom waszym pracowici i poczciwi kmiotkowie, co w uczci-

wej mierności spędzając żywot wasz, nie zazdrościcie i nie łakniecie cudzego mienia; wam rzemieślnicy, co przepędziwszy pracowicie tydzień cały nad warsztatem, używacie dnia Bożego ku chwale Najwyższego w gronie rodziny i domowników waszych, co nie trawicie go na gorszącej zabawie, wraz z ciężko zapracowanym groszem.

Pokój wam, którzy jesteście strapieni, a ulgi w cierpieniach waszych szukacie w modlitwie, jako niewyczerpaném źródle pociechy.

Pokój i błogosławieństwo Boże wam, co się brzydzicie występkiem i unikacie zgorszenia; wam, którzy naprowadzacie bliźnich waszych na drogę cnoty, którzy miłujecie prawdę i sprawiedliwość, a chronicie się fałszu i obłudy.

Pokój wreszcie wam wszystkim, którzy postępujecie według przykazań Bożych i idziecie zawsze drogą przez Chrystusa Pana wskazaną.

Nowy Rok.

—

Nowy rok bracia moi!... starym obyczajem
Zwykliśmy dłoń w braterskiej wyciągnąć miłości,
I lepszej, świętszej jakiejś czekając przyszłości,
Zyczyć jej sobie nawzajem.
Dobry stary obyczaj, lecz ziemi mej ludu
Zkąd ten anioł nadziei w piersi twoje wchodzi,
Jaki głos ci objawił wielką chwilę cudu,
W której o wszystko dobre kusić ci się godzi?
Chrystus to dziś za ciebie pierwszy okup złożył,
I syn człowieczy przyjął krwawy chrzest ofiary,
A duch całej ludzkości tchnieniem łaski ożył,
Na nowe życie człowiek przerodził się stary,
I ziemskiej swej niewoli strącając okowy,
Wyrzekł w obliczu Nieba: *poczynam rok nowy*!
Niech więc od onej chwili plemię odkupione
Prawdziwą drogą szczęścia umie iść do celu,
Niechaj w poczciwej pracy, w serdecznem weselu
Przeciw pokusom złego znajduje obronę,
A miłość bratnia jako posłannica Boża
Słodkim uściskiem swoim krzepi mu nadzieje;
Gdy zaś wędrowiec który wyjdzie na rozdroża,
Niech mu z błękitu niebios wiara się zaśmieje,
A krzyż, jako drogoskaz stojący w oddali
Od zgubnego w manowcach obłędu ocali!

Rachunek w godzinę śmierci.

—

Na smutnych równinach Podlasia od wieków pełno rozsiadło się szlacheckich wiosek, to jest takich, gdzie to dziedzic małéj jakiéj części sam sobie pan i sługa; jeden dziedziczy kilka, drugi kilkanaście zagonów w polu, które sam z rodziną obrabiać musi, żyć z nich, oporządzać się i o starości pamiętać, gdy nogi nosić, a ręce robić nie zechcą. Na takich to cząstkach są i zamożniejsi posiadacze; jedni już po rodzicach otrzymali zasobniejszą gospodarkę, lub dobili się jej własną uczciwą pracą, a inni inną drogą doszli zamożności, bogactw nawet, na które z obawą i wstrętem patrzy niejeden poczciwy sąsiad i Bogu dziękuje, że go zły duch nie opętał zakazanym groszem aby odpędzał ubóstwo z progów gdzie pra-ojcowie pracowali uczciwie. Otóż na takiej szlacheckiej zagrodzie miał małą cząstkę po ojcu Tomasz Kożuchowski. W młodości dopomagał on rodzicom w gospodarce; zręczny Tomek zaorał, zasiał, ugor podprawił, dojrzał dobytku, a niekiedy to i zręcznie worać się w sąsiednie pole potrafił, czego i właściciel nie dopatrzył. Umiał przedać najlepiej zboże na targu sąsiedniego miasteczka, oszukać na mierze nawet przebiegłego żydka; umiał w workach podłe ziarno przysypać celniejszem, a drobne kartofle wielkiemi. A bezrozumny ojciec cieszył się przebiegłym synem, i chwalił przed sąsiadami.

Po śmierci starego odziedziczył cząstkę młody Tomasz jako jedynak, i począł gospodarować na swoję rękę. I tak, najprzód za pożyczane pieniądze puścił się na chléb handlarski: skupywał stare i kaleki konie, podpasał je, przygładzał i po jarmarkach oszukiwał niemi biedaków. Niejeden, co na konika pracował z ujmą zdrowia, odmawiał sobie wygód nieodzownych, oszukany przez niego, kilkadziesiąt rubelków nabytych potem ciężkiego znoju rzucał w błoto, a Tomasz z uśmiechem zadowolenia chował grosz zakazany do kieszeni i nie bał się zań używać dobra ziemskiego, połykać strawę kupioną krzywdą sąsiedzką, a co gorsza śmiał dziatkom swoim składać z nich dostatki, które zwykle, jako niecnie nabyte, topnieją i giną w rękach spadkobierców, jak śnieg wiosennym słońcem dogrzewany. Od koni rzucił się Tomasz na inne

tego rodzaju spekulacye i uzbierawszy sobie do dwudziestu tysięcy, począł prowadzić najniesprawiedliwsze procesa z bracią szlachtą. Niejeden biedak trapiony pieniactwem, nie mając na nakład kosztów w sprawie, znękany, zbiedzony, ustępował łakomemu wydziercy ostatni zagon po dziadach odziedziczony, jedyny swój fundusz i sposób utrzymania, i szedł w świat o żebraninie; a Tomasz zapamiętały w złem, nie lękał się na ów zagon wydarty biedakowi rzucić ziarna i zadławić chlebem z niego upieczonym. Tak pomału, pomału, jednych procesami powyganiał ze wsi, innych oszukaństwem, lub podpoiwszy, nabywał części za liche pieniądze, że wkrótce całéj prawie wsi stał się udzielnym panem. Jeden mu tylko solą w oku pozostał sąsiad, z którym mimo zabiegów nic poradzić nie mógł. Dom jego od domu Kożuchowskiego przedzielał sad śliwowy. Był to Kasper Kobylański; służył on poprzednio wojskowo i nareszcie po trudach wojennych wrócił na ubogą ojcowiznę i począł, ożeniwszy się, pracować na małéj części, mieszkać w starym dworku, co jeszcze przodkowie jego kiedyś zajmowali, mogąc go tylko od czasu do czasu własną ręką podreparować. Chodził w siwej kapocie obyczajem podlaskiej szlachty, żona jego w czepku i przyjaciołce, a jeździł jedno-konnym wózkiem. Córki i synowie przyuczone do pracy, umieli tyle, że się mogli pomodlić na książce w kościołku, lub coś użytecznego przeczytać w dnie świąteczne. Lubionym był pan Kasper od całej sąsiedniej okolicy i jak słowo wyrzekł, to weń święcie wierzono. Ludzka krzywda nie ciężyła na jego sumieniu, i raz gdy mu jeden z sąsiadów widząc jego niedostatek, doradzał jakiś niecny zarobek, który miał go wzbogacić, odpowiedział:

Uchowaj mnie Boże! miły bracie, splugawić się dlatego bym więcej i smaczniej zjadł, lub wygodniej się wyspał. Nie chcę ja z wami przestawać mój sąsiedzie, bo widno złe was opętało.

I Kaspra odtąd nic już do złego doradcy zbliżyć nie potrafiło.

A gdy z nów raz pan Kożuchowski chciał jakąś sąsiedzką przysługę uczynić Kobylańskiemu, to ten rzekł posłańcowi:

—Powiedz twojemu panu, że usługi jego nie potrzebuję, bo zapracuję sobie, ufając w Bogu, którego przykazań nie gwałcę, a pomocą złego ducha brzydzę się.

Bał się go też Kożuchowski i mijał zdaleka, bo mu tak nieraz ostrą prawdą bryznął w oczy.

A gdy ostatnią cząstkę we wsi zabrał biednej wdowie z dziećmi, nieuczciwym sposobem, spotkawszy się z nim raz w polu Kobylański, rzekł:

—Słuchaj-no, wygnałeś już wszystkich ze wsi, wydarłszy ich ubogie mienie, jam ci tylko pozostał; ale wara od mego dobra, bo ja z tobą procesów zwodzić nie myślę i szukać jak inni sprawiedliwości po świecie, ale ja sobie wprzód dam radę—targnij mi się tylko na moję chudobę, z której to żyć mają w przyszłości moje biedne dzieci...

Kożuchowski mu na te dobitne wyrazy nic nie odpowiedział, tylko stuliwszy ramiona, zmykał co prędzej miedzą do domu.

Nareszcie stawszy się panem wsi całej, Tomasz począł na lichwę pożyczać pieniądze, tak, że wkrótce dorobił się przeszło stu tysięcy gotówki. Ależ Boże zachowaj takich szatańskich zbiorów; lepiej całe życie po żebraninę rękę wyciągać.

Nic już więcej Tomasz pragnąć nie mógł, bo miał kocze, cugi, pokoje ładnie przybrane, i wszystkie wygody życia, i zgraje przyjaciół, co się lubią bogactwu kłaniać. Lecz gdy mu przyszło spokojnie używać dobra ziemskiego, rozkoszy bogactw, jakieś go licho opętało; opanował go jakiś smutek, płakał, lamentował, dziwili się wszyscy, i nieraz pytali go sąsiedzi:

—Co wam panie Kożuchowski? macie bogactwa, ptasiego brak tylko mleka, a smucicie się!... wam śmiać się, a nie płakać!

—Co mi tam po tem, co mi po tem, odpowiadał wtedy bogacz, smutnie spuszczając głowę na piersi.

Posłano nareszcie po doktora, przypisując stan Tomasza chorobie. Jeździł jeden, drugi, trzeci, ale nic niepomagało; bogacz jak smutny, tak smutny, choć lekarstwa łykał z chciwością w nadziei polepszenia zdrowia. Nareszcie poczęto lękać się o pomieszanie zmysłów, bo Tomasz ani na chwilę sam zostać nie mógł, jakieś mu się widma przesuwały przed oczami, niekiedy rozmawiał sam z sobą, to znów zdawało mu się, że ktoś staje za

nim i woła: A co Tomku, nie lepiej było w siwej kapocie, z czystem jeszcze sumieniem, jak w pańskiej sajecie z chorem ciałem, poczerniałą duszą? ha.. ha.. ha!. i śmiało się tak straszliwie, że Kożuchowski niekiedy cały truchlał.

Zdesperowany grzesznik, gdy nic nie pomagały lekarstwa, począł wydawać bale— cóż skuteczniejszego na smutek, myślał, radując się, jak nie zabawy? Ale na nic się i to nie przydało, bo gdy bywało zasiądzie z sąsiadami do uczty, to ów *ktoś* dalejże mu kłaść w ucho: Tomku używaj, jedz, pij dosyta — a mają tam jeść i pić ci, coś to ich wygnał pod gołe niebo z torbą i kijem w ręku?

Na te straszne słowa dławił się Kożuchowski przysmakami i tracił ochotę do zabawy, smutniał nagle. To znów gdy go tęsknota opanowywała, zwoływał z miasta muzykantów i kazał sobie grać; ale huczała muzyka, a *ktoś* za nim jeszcze głośniej krzyczał: Tomku, każ grać głośniej, byś nie usłyszał jęku pokrzywdzonych przez ciebie, bo oni tam płaczą i stękają, walając się na barłogu, coś im posłał niemiłosierną ręką.

Otóż na nic muzyka się nie zdała bogaczowi, bo żadna kapela nie zagłuszy obrażonego sumienia; zakrzyczy ono najhuczniejszą orkiestrę, któraby grzmiała nad uchem pokrzywdziciela! Tak i w panu Tomaszu sumienie pierwej uspione chciwością, gdy go dogrzewać poczęło ciepło kradzionego złota, pomaleńku budzić się z uśpienia poczęło, piec w sercu jak rozpalone żelaztwo, i krzyczeć na całe gardło o cudzą krzywdę.

Najlepsza dla smutnych i najskuteczniejsza ucieczka, jest modlitwa. Ale pan Kożuchowski nie bywał oddawna w kościele, nie spowiadał się, bo kto w krzywdzie brata szuka wzbogacenia się, zaparł się oddawna Boga i modlitwy; nie wchodzi ów do kościoła, bo święte progi budzą w nim pamięć opiekuna uciśnionych, lęka się usłyszeć tam głosu Chrystusa, któryby go zapytał:

— Gdzie jest ten a ten, ta a ta, którycheś pokrzywdził?

Pana Tomasza trwożyły nawet dzwony, a szczególniej śpiewy pogrzebowe, bo bał się śmierci jak wszyscy, co poza grobem nic dla siebie nie widzą tylko garść ziemi, garść robaków, drzwi nieba zamknięte, a piekło rozwarte. Wtedy drżał jak liść na drzewie, bo przed jego oczami otwierały się szerokie bramy wieczności z całą nieskończonością, gdzie ścisły rachunek czeka zbrodniarza, gdzie szala nieprzedajna sprawiedliwości waży ich czyny, myśli, uczynki, na której najwięcej przeważa westchnienie pokrzywdzonego, łza wdowia, ucisk sierocy, gdzie nareszcie owa sprawiedliwość odróżnia uczynki prawdziwego miłosierdzia od spełnianych dla chluby i próżności światowej. Bał się zatem myśleć pan Tomasz o tej nieskończoności pozagrobowej, gdzie przyjdzie mu stanąć bez dobrego uczynku, bez poczciwej myśli, z czołem zbrudzonem, przynosząc z sobą garść prochów na świadectwo nikczemnie spędzonego żywota!

Żona pana Kożuchowskiego, dobra i poczciwa kobieta widząc, że doktorzy nie przynoszą ulgi mężowi, choć ich już kilkunastu było, poczęła go namawiać do spowiedzi i modlitwy. Pomiarkował już i pan Tomasz, że pomoc ziemska na nic mu się nie przyda, że trzeba po nią sięgnąć wyżej, tam, gdzie jej najpewniejsze źródło, najskuteczniejsza w troskach pociecha, w piekącym smutku nieomylna ochłoda. I odtąd nie mijał nigdzie odpustu, odbywał piechotą pielgrzymki do miejsc świętych, sypał hojną dłonią ubogim jałmużny, wystawił nawet we wsi swej ładną kapliczkę, gdzie się raz na tydzień odbywało nabożeństwo przez sąsiedniego wikarego. Ale cóż, kiedy owo *ktoś*, co zwykle stawało za panem Tomaszem, jak sam utrzymywał, szło wszędzie i jechało za nim, a gdy modlił się, bił w piersi, stawiał kaplice, wołało za nim: Faryzeuszu, modlisz się, bijesz w piersi, a oczyściłżeś ty ręce z grabieży, któremi Panu nad Pany śmiesz składać ofiary i żegnać się świętokradzko?

Tak dręcząc się Tomasz, zachorował nareszcie ciężko. Doktorowie nie robili nadziei wyzdrowienia, bo sechł, niknął w oczach, opuszczały go siły; już z trudnością podnosił się z łóżka i za pomocą drugich przechodził niekiedy po pokoju. Potężna to siła sumienia oddała go na pastwę chorobie. Widząc Tomasz zbliżający się koniec z przestrachem i biedząc z myślami, co poradzić, aby choć w spokojności oczy zamknąć, ni ztąd ni

zowąd, ale widno z dopuszczenia Boga, który ulitował się nad grzesznikiem, przychodzi mu na myśl Kasper Kobylański, ow sąsiad i wróg pana Tomasza. Może on mi poda jaką radę, mówi sobie... ale czy przyjść zechce?... Jednakże odważył się posłać po niego, bo go doń coś coraz to więcej, jak magnesem ciągnęło. Trudno było odmówić prawie umierającemu, i Kobylański na wezwanie zjawił się niebawem— wprowadzono go do pokoju chorego, którego Kasper nie poznał, bo szkielet tylko leżał na bogatem posłaniu.

— Siadaj kochany sąsiedzie, rzekł chory do przychodnia; nie odmawiajcie mi pomocy, jak jej nie odmawiacie tym, co się po nią do was uciekają.

— A cóż to ja wam za pomoc dać mogę? odrzekł Kasper, nasunąwszy brew i kręcąc długie wąsy; panem jesteście, a ja człek ubogi, u was złoto na zawołanie, a u mnie dobre słowo tylko i nic więcej.

— Oj! to też to tego dobrego słowa łaknę, mówił, bo ziemskie złoto na nic się przyda w godzinę śmierci; trzeba innych bogactw panie Kasprze, by z niemi stanąć przed Bogiem, a tu ich niema. Dorobiłem się wprawdzie majątku ziemskiego, pełno złota i dobre życie, ale to jakoś nic mnie nie cieszy.

— Boście o Bogu zapomnieli, wtrącił z niechcenia Kobylański.

— Jak to? zawołał zdumiony chory, wszak ci się modliłem, sypałem jałmużny, a nawet i kaplicę na cześć Jego wystawiłem!

Uśmiechnął się Kasper i odrzekł:

— Nie tak to się o Nim pamięta!

— A jakże? zapytał grzesznik,

— Nie obrażając go niczem, mówił Kobylański, ostro spoglądając na chorego, nie gromadząc grosza cudzą krzywdą.

Na te słowa poczciwca Tomasz wstrząsł się na łóżku, a Kasper nie zważając na to, mówił dalej dobitnie:

—Czystych ust tylko Bóg przyjmuje modlitwy, nieskalanego krzywdą braterską serca miła mu spowiedź, uczciwych rąk przyjmuje z radością budowę kościołów i ubogim rozdaną jałmużnę, ale nie tych, co pośniedziały łupieztwem cudzego dobra; coś zrobił, toś rzucił w błoto.

Tomasz aż posiniał, porwał się na łóżku, siadł; pot zlał mu wybladłe czoło, począł się krztusić, i ujrzał wtedy jak w zwierciedle występki swoje, i jeden po drugim stawał przed nim pokrzywdzony sąsiad, aż nareszcie zapytał:

— Cóż począć?..

— Oddać co cudze, jeżeli chcecie stanąć czystym przed Bogiem, a w godzinę śmierci i spokój znajdziecie i smutek ucieknie.

— A co dzieci moje poczną bez majątku; zagadnął grzesznik.

— A co dzieci twoje zrobią z majątkiem, krzywdą ludzką zdobytym, kiedy on jak ślina marna w jednej chwili przepada? odpowiedział Kasper. Gdy im odejmiesz wydarte złoto, mówił, to posiądą łaskę Bożą, a z tą wszędzie dorobią się bogactw, kiedy w nich tylko widzisz ich szczęście; śmielej ludziom wo- czy patrzeć będą i jeść chleb, co ich ojciec od plewy oczyścił, nie zadławią się nim, bo niczyja łza nie zawilży czystego ziarna.

— Oj sąsiedzie, wy łaskę Bożą już macie, bo wy taką prawdę mówicie, zawołał rozrzewniony Tomasz i zalał się pokutnemi łzami.

Biło poczciwemu Kasprowi w piersi serce z wielkiej radości, i gdy Tomasz płakał, on Bogu dziękował, że go obrał za narzędzie nawrócenia grzesznika w godzinę śmierci.

— A jakże zrobić panie Kobylański? zapytał chory.

— Jak? oddać, co się komu należy.

— A ja z czem zostanę? znów zagadnął Tomasz.

— Z czystem sumieniem, co jedynie szczęście ludzkie stanowi, i ważniejsze od złota w oczach Boskich.

Począł Tomasz myśleć i nareszcie rzekł po chwili:

— Oj prawda, panie Kasprze, że ciężko umierać, gdy człek niema zasobu na drogę wieczności, ależ jakże tu począć i jak zebrać tych, których się pokrzywdziło, jak spojrzeć im w oczy?

— Nie bójcie się o to, odpowiedział Kobylański, lepiej przed ludźmi się powstydzić i spuścić w dół oczy, jak nie śmieć stanąć przed Bogiem; ja wam w tem dopomogę i powiem, gdzie macie szukać pokrzywdzonych.

— Dobrze, odrzekł chory, zróbmy bracie rachunek, bo widno życie ucieka, a lżej bę-

dzie umierać, gdy duszę z błota ziemskiego oczyszczę.

Poczciwy Kasper począł wyliczać i notować Tomaszowi na papierze wszystkich, których pokrzywdził:

— *Grzegorz Konopacki*, mówił, zapisując nazwisko; wydarliście mu cząstkę niesłusznym procesem za trzy tysiące; chodzi on dziś po żebraninie i najczęściej siaduje pod kościołem w Sokołowie.

Michał Błoński; upoiwszy go, za liche pieniądze zabraliście jego fortunkę, obecnie on w Węgrowie posługuje żydom.

Od wdowy i sierot po *Michale Chylińskim* podstępnym sposobem wydarliście część, przekazując za nią lichą zapłatę. Warta ona była sześć tysięcy; sieroty te po śmierci matki zmarłej ze zmartwienia, cudze kąty wycierają i źli ludziska okrutnie nęcą się nad niemi.

— Panie Kasprze, zawołał Tomasz, poczekajcie, niech odpocznę, bo mi duszno, oj Boże, Boże, i Kużuchowski siadłszy na łóżku, zasłonił twarz rękoma i płakał serdecznie — po chwili zaczął Kasper:

— *Tadeuszowi Przewózkiemu* zabraliście cząstkę za dług, który wam był winien; pożyczkę tę gwałtem mu usunęliście, choć brać się wzdragał, potem obliczywszy ją z lichwą, gdy na terminie uiścić jej nie mógł, zatradowaliści fortunkę wartości czterech tysiący, umarł on ze zmartwienia, a żona jego z dziećmi chodzi po żebraninie.

Grzegorz Zabawski, wielce uczciwy człowiek; procesem wydarliście mu majątek, wart cztery tysiące—rozpił się biedak ze zmartwienia i umarł pod ławą w karczmie.

Wdowie po *Stanisławie Swiniarskim* zabraliście część niby za pieniądze pożyczane jej mężowi, a które to, jak mi wiadomo, nieboszczyk wam wypłacił, tylko nagłą śmiercią dotknięty nie podołał odebrać od was rewersu, bo zbytnie zaufał. Wygraliście sprawę w sądzie, bo ziemscy sędziowie przyznali wam wygranę podług prawa, ale Niebieski Sędzia po wyrok do siebie was w czasie powoła.

Jęknął biedny Tomasz, a Kasper dalej mówił:

— Biedna wdowa wygnana przez was z dziedzictwa, dziś umiera z głodu i choroby u żyda pod strychem, dzieci jej z nędzy puściły się na złe drogi.

Zwinął się Tomasz na te słowa na łóżku jak wąż w kłębek, ryczał prawie z boleści, płakał; łamał ręce i wołał: Boże, Boże, Tyś cierpiał dotąd takiego zbrodniarza na świecie!

Pomału ochłonąwszy ze wzruszenia grzesznik, kazał sobie podać pióro i papier i powstawszy z łóżka, ubrał się jak mógł, chwiejąc się na nogach, i zasiadł wobecności Kobylańskiego do pisania testamentu. Nagrodził w nim wszystkich pokrzywdzonych, czyli to ich osobiście, czyli pozostałe po nich rodziny; za lichwę zaś i oszukaństwo końmi i innemi sposobami, legował summę ku wsparciu biednych wdów i sierot niemających przytułku. Sukcessorom zaś po sobie zostawił tylko cząstkę wartującą dziesięć tysięcy, a zawoławszy żonę i dzieci, oraz wyznawszy przed niemi winy swoje, przeczytał testament i na końcu rzekł:

— Dziękuję ci poczciwy panie Kasprze, że z twej łaski mogę umrzeć spokojnie; o! lżej mi, lżej, mówił Tomasz, i łzy biegły mu po wychudłych policzkach. Nagrodziłem wszystkich, mówił dalej, których w zaślepieniu chciwości pokrzywdziłem, ale jakże nagrodzę tych, których w przepaść występku wtrąciłem?.. Jak nagrodzę biednej wdowie, gdybym ją nawet złotem obsypał, za jej dzieci, co w ziemskim kale utonęły! Boże przebaczysz-li mi?..

— Przebaczy, odrzekł Kasper rozrzewniony do głębi. On ojciec miłosierdzia, żałującym przebacza wszystko!

— O żałuję, załuję, wołał Tomasz, łkając, i z nadludzką siłą z krzesła, na którem siedział, rzucił się krzyżem przed wizerunkiem Zbawiciela wiszącym na ścianie, wołając:

Nie wstanę, aż mi Panie przebaczysz!

Cichość zaległa stancyą, leżał tak krzyżem pokutnik, i gdy wszyscy modlili się serdecznie za winy jego, przybył wezwany kapłan, przed którym Tomasz wyznał grzechy swoje, przyjął Kommunię Swiętą i potem Bogu ducha oddał.

Od śmierci Tomasza upłynęło lat kilka. Dzieci pana Tomasza dorobiły się z czasem majątku z owej małej cząstki, i są dziś panami; bo ziarno oczyszczone z plewy serdecznym żalem ich ojca, rzucały w uprawną rolę ubogiej spuścizny, na której łza pokrzywdzonych nie tamowała bujnego plonu.

Polowanie na lwa.

Gdybyśmy, wyruszywszy w podróż z któregokolwiek bądź miejsca naszego kraju, udali się w stronę pośrednią między południem i zachodem, wypadłoby nam przejechać Szląsk, Czechy, Bawaryą, Włochy Austryjackie i stanęlibyśmy nad morzem Śródziemnem, oblewającem całą południową Europę. Przepłynąwszy to morze w takim samym kierunku, przybylibyśmy do brzegów wielkiej części ziemi zwanej Afryką, a w szczególe do kraju zwanego Algeryą, który blizko od lat 30 zdobyty przez Francuzów, stał się jedną z ważniejszych kolonij tego narodu. Kraj ten ma wszystko odmienne od naszego: klimat, drzewa, rośliny, zwierzęta; ludzie, ich mieszkanie i obyczaje zupełnie są inne jak u nas. W lecie są tu nieznośne upały, a po nich następują tylko długo trwające deszcze; śnieg rzadko tam pada i tylko w górzystych okolicach się przytrafia. Ludy zamieszkujące ten kraj żyją pod namiotami, chowają wielkie trzody owiec i bydła, uprawiają zboże, lecz nie stale na jednem miejscu, ale coraz w innem, bo to są ludy *koczujące* i nazywają się Arabami, lub *Beduinami* czyli *synami pustyni*. Hodują oni wyborne konie, których rasa u nas nazywa się *arabską*, a bydłem domowem są tam wielbłądy, kozy, bawoły i osły. Ponieważ Afryka bardzo mało ma gruntu urodzajnego, bo jedynie kraje nad morzem położone są żyzne, w miarę zaś postępowania wgłąb kraju, same piaski trudne do przebycia tworzą tam ogromne pustynie, dlatego ta część ziemi jedynie na brzegach jest od ludzi zamieszkana, a w pustyniach swobodnie bujają najdziksze zwierzęta, jakoto: szakale, rysie, hyeny, lamparty i lwy, które zbliżając się niekiedy w okolice od Arabów zamieszkane, stają się dla nich bardzo niebezpiecznemi.

Ze wszystkich dzikich zwierząt lew afrykański z przyczyny nadzwyczajnej siły jest tam najniebezpieczniejszy, i na tego to zwierza odbywają się tam często polowania, z których opis jednego odbytego w roku 1844 tu zamieszczamy.

Żołnierze francuzcy w okolicy nowo-założonego przez siebie miasta zwanego *Filipwil*, od imienia ówczesnego króla Francuzów Filipa, pierwszy raz w owym roku spostrzegli zbliżające się do nich dwa lwy, z których jeden szczególniej był bardzo wielki, a jak opowiadali miejscowi Arabowie, pokazywał się on w tej okolicy od 60 lat, wyrządzał wielkie szkody i był postrachem okolicy. Żołnierze francuzcy odważniejsi postanowili wybrać się na ubicie tego strasznego nieprzyjaciela. Jeden z należących do tej wyprawy tak opowiada jej wypadek:

„Było to w nocy z d. 17 na 18 Czerwca 1844 r. księżyc przyświecał tak jasno, że wszystko widzieć i rozeznać było można. Skorośmy w nocy między godziną 11 a 12 usłyszeli ryczenie lwa niedaleko od obozu, pośpieszyliśmy w ową stronę, i czterech nas wlazłszy na drzewo, spokojnieśmy usiedli na jego gałęziach. Wkrótce ogromny lew przyszedł pod drzewo. Był to piękny, wspaniały zwierz, długi wysmukły ogon, zakończony miał długą kitą, podobnie jak grzywę z czarnych włosów. Dla zapewnienia sobie zwycięztwa, wszyscy czterej wypaliliśmy do lwa razem mocnemi nabojami. Upadł z jękiem, i zdawało się żeśmy go zabili; nie odważyliśmy się jednak zleść z drzewa i jeszcześmy do niego raz wystrzelili. Powtórnie raniony usiłował się od nas oddalić i odczołgał się ze 300 kroków w zboże. Wtedy dopiero przybył drugi lew, jak widać samica; postępowała ona za wlokącym się, stanęła nad nim i lizała mu rany. Widok ten był dla nas bardzo rozrzewniający.

Zdawało się, że już wszystko jest skończone i pozostawało tylko zabrać owoc naszego zwycięztwa; ztemwszystkiem drogo jeszcze opłacić je należało i nie sam lew miał być pogrzebany. Nazajutrz rano o godzinie 5éj kilku saperów, pomimo zakazu kaprala od inżynierów, umyślili wyprawić się na zranionego lwa. Saper nazwiskiem *Blanc-Brude* pierwszy do lwa przystąpił i wystrzelił; raniony zwierz porwał się i rzucił na sapera, mężnie się za słaniającego bagnetem. Przerażeni inni żołnierze uciekli, a rozjuszony zwierz powalił sapera na ziemię i byłby go niezawodnie rozszarpał, gdyby nie kapral, który przyskoczywszy, wystrzelił z karabina do lwa, i ze szponów jego oswobodził sapera. Tak nareszcie śmiertelnie raniony, dobity został lew przez przybyłych żołnierzy i przyniesiony do miasta *Filipwil*, gdzie się lud zbiegał i dziwił nad-

zwyczajnej jego wielkości. Odważny saper *Blanc-Brude* umarł nazajutrz w lazarecie.

Tak się skończyło polowanie na lwa, którego, tam *czarnym* nazywano."

W powyższem opowiadaniu niema wzmianki, jak i kiedy oddaliła się od ranionego lwa samica; dopiero w roku 1846 odbyło się i na nią polowanie przez sławnego *Gérarda* (Żerarda) którego żołnierze francuzcy przezwali *pogromcą lwów*, a który w ten sposób opisuje odbyte przez niego samego polowanie na wspomnioną powyżej lwicę:

„W miesiącu październiku roku zeszłego, mówi tenże Gérard, dali mi znać Arabowie, że owa lwica, z nowym swym małżonkiem, którego oni *płowym* przezwali, krąży znowu w okolicy, i zabija im bydło i konie. Wziąwszy dubeltówkę kazałem się zaprowadzić w miejsce, gdzie świeżo táż lwica skaleczyła jednego konia, a drugiego udusiła. Wrzeczy samej na brzegu lasu znalazłem miejsce świeżo krwią zbroczone, a dalej ślad wleczonego konia; idąc tym śladem, ujrzałem w wąwozie zarosłym gęstemi krzakami leżącego nieżywego konia. Sądząc, że tu sobie lwica zachowała swą zdobycz do dalszego użytku, umyśliłem na nią czatować. W tym celu wlazłem na drzewo stojące nad wąwozem, a po dwu godzinnem czekaniu, ujrzałem przybywającą lwicę, z małym, około 15 miesięcy mającym synkiem. Młody lewek zobaczywszy leżącego konia, poskoczył do niego, chcąc go zacząć, lecz lwica płatnęła go łapą i zapędziła w gęstwinę. Znikli mi z oczu oboje, i już rozumiałem, że ich więcej nie zobaczę, aż po niejakim czasie obejrzę się w lewo, widzę jak lwica rozciągnięta na ziemi patrzy, jaskrawe oczy we mnie wlepiwszy. Nie namyślając się, wymierzywszy w głowę, z obu luf razem wypaliłem; lwica podskoczyła wysoko na dwa łokcie, upadła, głęboko jęknąwszy.

Zaczekałem jeszcze czas jakiś, a nie widząc już w niej znaków życia, zlazłem z drzewa, przystąpiłem do lwicy i obejrzawszy ją, spostrzegłem, że kula przeszyła jej głowę nawylot. Powróciwszy do miasta, uwiadomiłem o tem Arabów, których zaraz ze dwustu udało się ze mną na miejsce, i z tryumfem zabitą lwicę na swych barkach przynieśli."

Ten sam odważny Gerard nieustannie odbywa w Algeryi polowania na lwy, już to sam, już w towarzystwie odważniejszych osób, i zawsze zwycięzko wychodzi. Podajemy tu jeszcze jedno, tem bardziej dla nas interesujące, że w niem gra główną rolę młody ukraiński kozak *Walorek*.

W miesiącu Maju bieżącego roku wybrało się kilka osób z Gerardem na polowanie. W towarzystwie tem znajdował się nasz ziomek Konstanty Hr. Branicki, wraz ze swym nieodstępnym kozakiem *Walorkiem*.

Przybywszy całe towarzystwo na miejsce przez Arabów wskazane, w którem ukazywała się potężna lwica, napróżno oczekiwało przez 20 nocy jej przybycia. Wśród tego czasu Arabowie dają znać Gérardowi, że ogromny lew ukazał się w innej stronie. Na tę wiadomość wszyscy udają się w nowo wskazane miejsce, a Hr. Branicki zostawia odważnego Walorka w wąwozie krzakami zarosłym, aby czatował na oczekiwaną lwicę. Niedługo rzeczywiście czekał Walorek na spodziewanego gościa; w dniu bowiem wyjazdu jego pana, przybywa lwica wraz ze sporym już odchowanym lewkiem do wspomnionego wąwozu dla ugaszenia pragnienia. Walorek dojrzał najprzód młogego lewka, lecz do niego nie strzelał; ale po chwili obejrzawszy się w stronę, spostrzega ogromną lwicę, jaskrawy wzrok w niego rzucającą; nie było chwili do stracenia, Walorek wypalił do lwicy z dubeltówki *kulą piorunującą*, (1) a następnie ze sztućca puścił dwa strzały kulami *stożkowemi*; lwica padła prawie na miejscu od dzielnie wymierzonych pocisków, i wkrótce życia dokonała; młody lewek uciekł. Na strzały Walorka przybyli wkrótce Arabowie, a widząc zabitą ogromną lwicę, w tryumfie łup ten zanieśli do miasta, wraz z odważnym młodym zwycięzcą. Skórę zabitej przez Walorka lwicy zabrał z sobą Hr. Branicki i tę oglądano w Warszawie.

(1) *Kula piorunująca* jest wewnątrz napełniona mieszaniną piorunującą, kula taka za uderzeniem o jakie ciało twarde np. o kość, pęka i z hukiem się roztrzaska.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 16 (28) grudnia 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*